

prof. Kazimierz Świągowski

Gnothi seauton (2)

– Powróćmy do przerwanej wątku – problematyki mott. Rozważaliśmy znaczenia wstępnych dwóch. A teraz przejdźmy do kolejnych. Oto zdanie wyjęte z Wprowadzenia do filozofii Karla Jaspersa, otwierające cykl *Przymierze z czasem*. Brzmi: „Tylko poważnie traktując czas, docieramy tam, gdzie wszelki czas ustaje”. Zechciej przekonać mnie, że jest ono jakoś odpowiednie dla całego cyklu.

– Czy do całego? Są w nim wiersze różne i motyw czasu nie dotyczy wprawdzie ich większości. Ale tak byłoby tylko wówczas, gdybyśmy szukalibyśmy tego motywu w bezpośredniej naoczności. Sądę jednak, że pośrednio, jako tło ideowe jest on tu niemal stale obecny. Tytuł cyklu wziętem od jednego z wierszy. Niewątpliwie tytuł, jeśli go poważnie traktować, powinien zapowiadać coś istotnego, co jest obecne w tekście, któremu jest przydany. Ale tak nie zawsze być musi. Wystarczy, że pełni funkcję oznaczającą, niekoniecznie zaś znaczącą.

– Jednak wyrażenie „przymierze z czasem” to chyba coś więcej, niż zwykły znak oddzielający ten cykl od innych. Intryguje samą swoją treścią.

– Oczywiście, prawdę powiedziawszy, to mógłby być tytułem całego tomu ze względu na zaznaczony w nim problem czasu. Taki tytuł zresztą nosi jeden z moich wcześniejszych tomików. Pytanie o czas bowiem jest fundamentalnym pytaniem, wokół którego jak wokół osi obrotowej sytuuje się problematyka niemal wszystkich moich wierszy, także tych, w których słowo „czas” nie występuje. Nawiasem mówiąc, słowo to bodaj czy nie najczęściej jest obecne w wierszach z okresu wczesnego, jeszcze licealnego.

– Dlaczego „przymierze” z czasem, a nie np. „przekleństwo” czasu? Przecież idzie ci nie o pochwałę czasu, a o skargę na niego, że to siła niszcząca człowieka. W młodzieńczym wierszu piętnastolatka *Powrót z gwiazd* napisałeś: „O, czas, przekłeta zmija!”

– Owszem, tak napisałem. I tak po ludzku odczuwam: czas jest siłą przede wszystkim niszcząca. Chociaż człowiek realizuje się przecież w czasie. Więc jest on również warunkiem naszej twórczości. I wszelkich radości. Bo i one także dzieją się w czasie. A dlaczego „przymierze”? Dlatego, że wobec natury świata, która jest czasowa, nie ma sensu ślać przekleństw, lepiej, jeśli będziemy szukać z nią porozumienia, ugody. A skoro trudno o ugodę, czyli o jakiś kompromis, bo czas jest doskonale obojętny na nasze wołania, lęki i płacze, to jedyne wyjście, jakie nam w tej sytuacji pozostaje, jest uznać czas w

całej jego powadze i metafizycznej godności. Wtedy uwolnimy się od daremnego złudzenia, że wobec niego możemy stosować jakieś ludzkie zaklęcia, które by zmieniły jego bieg i naturę. A wówczas wstąpi w nas spokój i pocujemy smak dostępnej nam wolności.

– Coś w rodzaju stoickiego *amor fati*.

– Tak przynajmniej ja rozumiałem słowa Karla Jaspersa. I jeszcze jedno bym tu dodał. Poważnie traktować czas, znaczy zgłębiać jego obecność i naturę, myśleć i mówić o nim jak o sobie samym. Bo przecież póki co, żyjemy w nim, a nie w bezczasie. A mówić o nim najlepiej można w języku poezji. Ja w każdym razie czynię to od samego niemal początku swego twórczego trudu poetyckiego, a także trochę mniej odważnie, w niektórych esejach.

– Np. w zamieszczonym w tomie *Kamień i czas* eseju *O czasie*. Wobec tego przejdźmy do kolejnego motta, którym poprzedziłeś wiersz *Cogito*. Wyraża ono chyba najbardziej przejmującą metafizyczną i intuicyjną myśl: „Dlaczego istnieje raczej coś, niż nic? Nic jest przecież prostsze i łatwiejsze niż coś”.

– Tak, to są słowa Gottfrieda Wilhelma Leibniza. Żałuję, że usunąłem w tym wydaniu motto z Bergsona, które brzmiało: „Nicość była wprzód, i byt przyszedł na dodatek”. Wiersz *Cogito*, który teraz mamy na uwadze, o tym właśnie traktuje – o relacji bytu i nicości. Jest w nim rozwijana intuicja nicości jako źródła bytu. Ten wiersz ma też i czysto poetycki anteceden. Jest nim 129-ty hymn z dziesiątej księgi (mandali) *Rigwedy*. A zaczyna się znamiennie: „Niebył nie istniał wtedy, ani byt nie istniał” (w przekładzie Franciszka Michalskiego). Zawiera więc rozmyślanie o początku rzeczy, czy wszechrzeczy. Być może hymn *Rigwedy* był mi nawet nieświadomą inspiracją, nie pamiętam. Pierwszy jego werset również mógłby posłużyć mi za motto. Masz rację, że w pytaniu Leibniza zawiera się najgłębsza z najgłębszych metafizycznych intuicji. Już dalej w głąb świadomości posunąć się nie można. I z logicznego punktu widzenia pytaniu temu nic nie dolega. Nie należy ono do tzw. pytań źle postawionych, jakby to zapewne powiedzieli niektórzy rygorystyczni pozytywści i wszelkiej maści empiryści. Skoro nasuwa się ludzkiej świadomości, to znaczy, że nie jest pytaniem pustym, czy jakoś retorycznym, na które mielibyśmy gotową odpowiedź – w tym wypadku negującą jego zasadność i sensowność z tego tylko powodu, że pytamy o to, na co nie ma odpowiedzi. Rzecz w tym, że na najistotniejsze pytania metafizyczne nie mamy rozstrzygających odpowiedzi. A wynika to z oczywistego faktu, iż nasz umysł jest

ograniczony jedynie do tego, aby móc tylko postawić takie pytania, lecz nie ma kompetencji do znalezienia odpowiedzi na nie. Sama jednak zdolność do stawiania takiego pytania i jemu podobnych staje się fundamentem jego godności w porządku wszechrzeczy, do której przecież należy. I świadczy także o tym, że coś jednak wie o tym, o co pyta. Gdyby nic o tym nie wiedział, to by nie pytał. Bo pytamy zawsze o coś, co nas interesuje, a interesować nas może tylko to, co w jakiejś mierze jest nam znane. Wygląda więc na to, że pytanie o nicość wynika z wrodzonej nam idei, czy może raczej intuicji nicości wpisanej w naszą świadomość i przez nią kontrolowanej.

Pamiętam, że po raz pierwszy w życiu z problemem możliwości nieistnienia świata zetknąłem się, kiedy miałem trzynaście lub czternaście lat i byłem w ósmej klasie licealnej (wtedy liceum kończyło się klasą jedenastą). Stało się to na lekcji religii. Prowadził ją mądry ksiądz, doktor nauk teologicznych dziekan w kolegiacie w Łasku Zygmunt Franczewski. Nie pamiętam, jaki był temat lekcji, ale pamiętam, że ów ksiądz raczej nie trzymał się ściśle tematów, bo dyskusje z nim dotyczyły różnych problemów, także tych nieplanowanych, a często fundamentalnych. Pamiętam jego szokujące zdanie, które brzmiało mniej więcej tak: nie tylko nie wiemy, czy świat jest skończony, czy nieskończony i wiele jeszcze innych rzeczy o nim, ale nie wiemy, czy on w ogóle istnieje. Są tacy mędrcy, którzy mówią, że nie istnieje. I na dowód tych wątpliwości wśród filozofów ksiądz dziekan pokazał nam dwa ogromne tomy *Sporu o istnienie świata* Romana Ingardena. Wtedy przypomniałem sobie, że i wcześniej przychodziły mi do głowy takie myśli, czy raczej fantazje myślowe: co by było, gdyby wszystko, co składa się na świat, nie istniało? Dziś mogę na tę myślową fantazję odpowiedzieć, podpierając się trochę Kartezjuszem tak: niech by świat i nie istniał, ale przecież to, co jest we mnie i pyta o ten świat, musi istnieć, choćby dlatego, że pyta, więc i myśli. A myśleć może tylko to, co istnieje. Wszak istnienie jest podstawą i źródłem wszystkiego, z czego składa się rzeczywistość. A czym jest to, co pyta? Z pewnością nie tym, o co pyta. Więc czym? Świadomością. A czym jest świadomość? – Na to pytanie nie ma pewnej i zadowalającej odpowiedzi. Może czymś, co nas spokrewnia z Bogiem? Wszak powiedziane jest, że jesteśmy „na obraz i podobieństwo Boże”. Ale takim stwierdzeniem wykraczamy poza dziedzinę rozumu filozofii, a wchodzimy w dziedzinę wiary i religii. A tymczasem przecież wiersz *Cogito* nie jest – podobnie zresztą jak i chyba wszystkie pozostałe moje wiersze, utworem religijnym, a tylko filozoficznym, metafizycznym.

Dokończenie na stronie 4)